



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

WIOSENNA PIOSENKA.

(z Heine'go).

Wskrós przepływa mi przez duszę
Wiosenna muzyka,
Zadźwięcz, piosnko, leć w dal świata,
Na skrzydłach wietrzyka!

Leć, gdzie kwitnie przede dworem,
Fiótek z stokrotką,
Gdy napotkasz tam różyczkę,
To ją pozdrów słodko!...

W przecudnym miesiącu maju,
Gdy wszystkie pękają paki,
Znalazłem w sercu mem miłość,
Jak wonne kwiecie wśród łąki.

W przecudnym miesiącu maju,
Gdy wszystkich ptasząt brzmia pienia,
Wyznałem co w sercu noszę,
Tęsknoty me i pragnienia.—

Z łez mej miłości gorącej,
Zrodzą się lilie i róże,
Z westchnień się staną słowiki,
Nucące w ezarowym chórze.

Kwiaty te oddam ci dziewczę,
Za miłość twoją wzajemną,
Słowiki śpiewać ci będą
Całą noc cichą i ciemną.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Wśród gniewu na łzy mu się zbierało. Wzruszenie, niepokój, niepewność jak miał postąpić, osłabiły sędziogo; zwiesił głowę na ręce.

— Obróć to acan dobrodziej na korzyść duszy swojej — dodał ks. Dagiel — wstąp w siebie, uderz się w piersi!

Na to długo nie było odpowiedzi. Czemeryński czem innem wydawał się być zajęтым. Księża obaj milczeli, szanując jego smutek; Czemeryński zerwał się żywo.

— Gdybym wiedział — zawołał — że Strukezaszycą tem dojadę — natychmiast-bym ich oboje do domu wziął — przebaczył i pobłogosławił.

Ksiądz proboszcz, który sądził, że go już nawrócił, spojrział na ks. ex-definitora: stary grzesznik wracał.

— Jak waćpan dobrodziej sądzisz, gdzie oni mogą być?

— Nic a nic o tem nie wiem — odparł ks. Dagiel — mówiłem już o tem panu, że jedna Strukezaszanka mogłaby wiedzieć coś.

— Strukezaszanka! — skrzywił się Czemeryński i ręką strzepnął.

— Dostyc, że jego siostrą jest, bym z nią wszelkiego unikał stosunku — rzekł sędzia. — Mojem zdaniem, oni daleko być nie mogą. Suponuje, bom coś

słyszał, iż Erazm się kręcił koło palestry w Lublinie, że tam się pewnie ukryć pojechali. — Ja ich znajduję.

Niezważając na obu duchownych, cały zajęty myślą o córce i zemście, przechadzał się Czemeryński po pokoju, mrużąc. Stawał, biegał, ręce zacierał.

— To ja — zawołał nagle — ja się tu już tyle czasu męczę i piekę, jak święty Wawrzyniec na ruszcie, a Strukezaszyc o Bożym świecie nie wie i swobodnie oddychał!

Więc on nie wie! nie wie!

Mówiąc to, zbliżył się do ks. Dagiela.

— Zdaje mi się, że nie wie; ostatniej niedzieli zapewniła mnie o tem panna Blandyna.

— A to się ma nazywać sprawiedliwością! — krzyknął Czemeryński. — To nie może tak być!

Ruszył ramionami ks. Dagiel.

— Cóż to waćpanu pomoże, gdy się on dowie? Chyba, żeby rozerwał małżeństwo i córkę jego niešťęśliwą uczynił.

— O! rozerwał! on! tego ja mu uczynić nie dam — zawołał sędzia. Jeżeli on będzie zrywał, ja będę wiązał; a zechee on wiązać, — no, to będę zrywał.

— A córka? a dziecko twoje! — zakrzyknął oburzony proboszcz. Gdzież to ja jestem! na miłego Boga, między pogany czy w domu, pod prawem Chrystusowem!

Nie stomasz-że się pan i czuć tak i mówić, i chcesz, aby Bóg błogosławił domowi, który zemsta techniel!

Sędzia zwiesił głowę.

— Mówisz pan o przywiązaniu do jedynego dziecięcia! waćpan stokroć do zemsty swej jesteś więcej przywiązany niż do niego.

Zarzut ten dobił Czemeryńskiego. Ks. Dagiel pożałował go i złagodniał. Zbliżył się doń, rozpościerając ręce.

— Daruj mi! za gwałtownie mówiłem, ale miłość Chrystusowa i przywiązanie do was dyktowały słowa. Precz z serca ta zemsta paskudna, — niech do niego wróci uczucie ojca dla dziecięcia!

— Cóż-bo chcesz, mój ojczy, — przebąknął Czemyński — Bóg z niemi, ja zięciowi przebaczę — dalej nie żądajcie — nie mogę! nie!

Uderzył się oburącz w piersi i jęknął: Nie — nie mogę.

Zaczel go obaj duchowni łagodzić i uspakajać. Czemyński usiadł i zapłakał.

— Co mam zrobić z żoną? — zapytał — ona o niczem nie wie; ja już siły nie mam oznajmić jej o tem.

Ks. Dagiel wstał.

— Ja pójdę.

Zgodził się na to sędzia, a sam pozostał z sobą, starając się do ładu doprowadzić myśli i określić co mu czynić wypadało.

Napróżno byłoby żądać od serca ludzkiego tego, co ono dać nie może; długo przejęte uczuciem jednym, nie pozbywa się go łatwo. Te nagłe zwroty, które widzimy na scenie, z nienawiści do miłości, ze wstępu do sympatii — w naturze są tak wyjątkowymi, iż prawie do cudownych należą.

Czemyński też nie mógł przełamać się i nieprzyjacielowi przebaczyć. Pobudki chrześcijańskie rozumem przyjmował; serce nie mogło iść za niemi. Gdy księżyca wyszli, począł tylko przemyślać nad tem: jakby najlepiej mógł dokuczyć Strukezaszycowi?

Niedowierzał jeszcze temu, aby ożenienie mogło dlań być tak dotkliwym ciosem. Miłość własna oburzała się przeciwko temu.

Pomimo wstępu do całego domu Hojskich, wpadał na myśl potajemnego widzenia się i wybadania p. Blandyny.

Plątały mu się zresztą myśli, ale wśród nich postać Leonilli, tego ukochanego straconego dziecięcia, przesuwiała się jakby wołając o należne sobie miejsce; żal mu się robiło jej, tęskno mu było bez niej.

Ta miłość dla córki zacierała chwilami plany zemsty.

Myśląc, ważąc, klójąc się sam z sobą — nie postzegł jak dosyć czasu upłynęło, i ks. Dagiel poruszony mocno wszedł oznajmując mu, że z żoną widzieć się może.

Sędzina siedziała na łóżku, zarumieniona, spłakana, ale jakaś szczęśliwa, ręce wyciągnęła do męża.

— Kochanie moje, rybko moja złota! — zawołała. — Już wszystko dobrze! nie gniewaj się! Dziecko nasze Bóg uratował, odzyskamy je — wróci do nas.

Czemyński psuć jej tej radości nie chciał, zamilczał. Co myślał dalej czynić — nie powiedział, rad był tylko, że biedna kobiecina doznała pociechy.

W Sierhinie tymczasem przyspieszano tradycją i zawiązywano proces kryminalny o wycięcie lasu. Strukezaszyc tak był tem przejęty i rozgorączkowany, iż o wszystkim innym zapominać się zdawał. Erazm — by mu był może tak rychło na myśl nie przyszedł, gdyby nie nawał rozmaitych skryptur, do których mógł być pomocnym.

Kaczor do wycieczek i intryzek był przydatny, w pisaniu i prawie mównym nie był. Cytował statuta, konstytucje, korektury, excepta, najopaczniej a z bezczelnością niezmierną. Strukezaszyc posługując się nim, zmęczył się i, jak mówił — zdysgustował.

— Partacz-bo jest! — mówił sobie pocichu — nie ulega wątpliwości.

Siedzieli raz przy wieczerzy, on, panna Blandyna i Kaczor, który się rad na cudzym chlebie przeżywał, gdy Hojski, jakby go co tknęło, zawołał do siostry:

— A czego on tam dłużej ma siedzieć? — nieprawda?

— Kto? — spytała siostra.

— Juścić? kto! Erazm! Wyprawiłem go, aby mu z głowy rękawiczka wywietrzała, a no dosyć już. Kasztelanowa też już sarkać musi, że jej chleb je darmo, a panny Czemyńskiej, której — em się bał, chwala Bogu niema. Więc — niechby powrócił.

Panna Blandyna popatrzała na brata.

— A czegoż się znowu tak śpieszyć — rzekła. — Chłopiec się przynajmniej rozerwie w mieście; tu z nami niewielka rozrywka.

— El asińdzka — bo wystawiasz sobie, że Erazm by się tylko bawił a bawił — rzekł Hojski. Ja zaś muszę jej i to dodać, że u kochanej Kasztelanowej, także mu nie musi być wesoło. Same baby i starzy faworyci.

— No — ale miasto.

— Nie zna nikogo — rzekł Strukezaszyc.

— Przecież się ludzie poznawają.

Hojski ramionami zachnął.

— Ktoby powiedział — dodał — że asińdzka go nie kochasz i widzieć nie chcesz — a to tylko ta babska natura: strzyżono, golono — golono, strzyżono, aby na przekorę.

Zamilkła panna Blandyna, na talerz spuściwszy oczy.

Kaczor, który wyrabiania lasu, bez oporu, jeszcze nie mógł strawić, westchnął.

— Gdyby tu p. Erazm był — rzekł — onby pewno nie mi strzymał, kiedy las rąbano. Czemyńskiemu — by w łeb wypalił.

— Co waćpan pleciesz? — niecierpliwie przerwała p. Blandyna, jego tam nie było.

— To co! to co! a byłby strzeżli — zamruczał, nie mogąc lamusa zapomnieć Kaczor, który na wspomnienie sędziogo w passyę wpadał.

Strukezaszyc się smutnie rozśmiał.

Właśnie dnia dopiero poprzedzającego przez Morawca się dowiedział o trzymanej w sekrecie przygodzie Kaczora.

— Acan do niego masz coś na wątrobie? — odezwał się szydersko. — Przyznaj się.

— Ja? — prysnął zaczerwieniony komornik. Spojrzał w oczy pryncypałowi, poznał z nich, że tajemnica zdradzona i, oczyma wskazując pannę Blandynę, prosić się zdawał o dyskrecję.

Nie zdradził go też Strukezaszyc i zamilczał. Rozmowa się zwróciła znowu na Erazma.

— Napiszę dziś do niego i do Kasztelanowej, aby jej podziękować. Niechaj powraca — zda mi się.

Panna Blandyna przebierała coś na talerzu, nie podniosła już oczów, wiedząc, że bratu najgorzej się było sprzeciwiać.

Jakoż choć nie tego dnia, bo nie było czasu, a przy świecy Hojski nie pisywał nigdy, ale naza-jutrz rano, siadł do pisania listów.

Syna w krótkich wyrazach wezwał do powrotu; do Kasztelanowej z respektem, na pół żartobliwe ułożył pismo, dziękując jej za gościnność. Listy na pocztę wyprawiono.

Owczesne poczty, pozał się Boże, nie chodziły zbyt śpiesznie, dlatego też, kto chciał prędziej odpowiedzi być pewnym, nigdy im nie powierzał nie — wyprawiał umyślnego. Wiele panowie ślali sztafety i kuryerów.

Strukezaszyc obrachował: ile dni poczta powinna była iść do Wilna, ile czasu potrzebował Erazm dla wybrania się w podróż, ile na podróż samą, i dzień a niemal godzinę miał już wyznaczoną, na którą się syna spodziewał.

— Jutro Erazio będzie — rzekł do p. Blandyny. Każ dla niego na przypadek co zrobić, aby nie był głodny.

— Jakże to można tak wyrachować na pewno? — odparła siostra.

— To mi dobre! Jutro musi być, a uchowaj Boże, by czy oś pękła, czy koło się złamało, no, to dzień frysztu na to, dajmy pojutrze, musi być.

Ciotka jakoś tej pewności nie podzielała.

Dnia oznaczonego Strukezaszyc dwa razy wyszedł na groble, potem dopózn siedział w ganku, na każdy turkot zrywając się i rękę przykładając do czoła. Po dziesiątej godzinie oświadczył, że chyba nie przyjedzie dnia tego. Oczekiwanie następnego dnia kubek w kubek się powtórzyło, tylko wieczorem Strukezaszyc już zacinał usta i gniewał się.

— U tej młodzieży pstro zawsze w głowie. Nigdy się z czasem nie rachują. — Błazen z niego!

Następnego dnia zły był także, nie wspominał o synu, a we dwa dni potem zaczął być niespokojnym: czy nie zachorował? Puszczal się w domysły najrozmaitsze — nie rozumiał. Ojcowski rozkaz był rzeczą tak świętą, jak przykazanie Boże, jakże syn mógł go lekceważyć?

Tydzień takiego oczekiwania, wyczerpał cierpliwość; gdyby nie proces, byłby sam może Strukezaszyc wybrał się do Wilna, ale sprawa z Łopatyczami za poły go trzymała.

Panna Blandyna milczała.

Miał tedy najroztropniejszy człowiek ze dworu, kucharz Felix, być wysłanym po panicza do Wilna, gdy z miasteczka przywieziono listy od — Kasztelanowej.

Staruszka zwykłym swym stylem i charakterem, ułożoną korespondencją zaczynała od tego, iż niezmiernie żałuje, że pana Erazma właśnie uprosiła o obejrzenie majątku jej w Witebskiem. Nie mogła ściśle obrachować, kiedy wróci z tej odległej krainy, ale zapewniła ojca, że jest zdrow, że się dobrze bawić będzie i t. p.

Po podpisie i *manu propria*, następował przypisek, który brzmiał jak następuje:

„W Witebskiem panien pięknych dużo i posażnych. Erazio pojechał z rekomendacyami; jeżeli go tam pochwyć a ożenią — nie będę winna. Gotuj się zawczasu gdzie synową pomieścić, bo z Witebszczankami nie żarty.“

Przypisek, żartobliwy, nie nie znaczący, dał jednak do myślenia Strukezaszycowi.

— Co to ma znaczyć? hm? Taka kobieta jak Kasztelanowa, bez racyi nie napisze nic? Coś tam jest? Żeby zaś błazen miał bez mojego pozwolenia w jakieś amory się wdawać? — to nie może być. Ale to baba stara, a w głowie jak w Pacanowie.

Poskarżył się przed siostrą.

— Sam-em sobie winien, nie powinienem był go tam posyłać, znając starą trzpiotnicę. Gotowa go bezemnie swatać, a jej swaty nie ciekawa rzecz. I pisze, że go wyprawia w Witebskie! Jak, co? po co? Cóż, na usługach u niej, czy jakie lichy?

Coś w tem jest.

— Sam-żeś go wyprawiał! — rzekła p. Blandyna.

— No! i już mi to asińdzka będziesz wypominała! Sam! No — sam — któż go miał wyprawiać! Bałem się tej Lullimilli Czemyrylli.

— A możesz wpaść z deszczu pod rynwę — szepnęła p. Blandyna.

— Nie! — rozśmiał się Strukezaszyc — bo niema rynwy na świecie, któraby mi od Czemyrylli była straszniejsza. Nawet panna Lucyferówna Dya-błowska.

— Pleciesz bo acan — przerwała, czerwieniąc się siostra. — Obraza Pana Boga!

Strukezaszyc, widząc siostrę zagniewaną, uznał się winnym i chciał zatrzeć niemile wrażenie.

— Nie słyszałaś asińdzka: któż to przecię wykradł tę lalę, kamerdyner czy kuchta? bo tam u niego w domu nikt porządny nie bywał. Wątpię, żeby ks. ex-definitor, habit zrzuciwszy, z panną ruszył.

Panna Blandyna, na prawdę temi żartami niewczesnymi oburzona, wybiegła trzaskając drzwiami.

Był to wielki dzień triumfu dla p. Strukezaszyc: po wielu staraniach, zabiegach, a z niemalym sumptem, tradycją wyrobił na dwie, wprawdzie najgorsze, wioski Czemyryńskiego. Proces o wio-lencę i wycięcie lasu, jeszcze się ciągnął, tymczasowo tylko, za nabyte wierzytelności z zaległymi prowizjami, sąd oddawał część majątności w ręce Strukezaszycy.

Dziwnem było trochę, że Czemyryński mało się eo bronił.

W dzień naznaczony do zajęcia, Hojski sam osobiście nie pojechał; wysłał z plenipotencją Kaczora i Morawca. Lękał się naostatku oporu i swej własnej gwałtowności; nie chciał dopuścić krwi rozlewu, ani burdy, aby wszystka wina burzenia spokoju spadła na Czemyryńskiego.

Jednakże Morawcowi i Kaczorowi, który tchórzliwie niepomiernie, towarzyszyło kilkunastu ludzi ze strzelbami.

Jeden chłopak wykommenderowany był umyślnie, aby po wzięciu intromissy i obwołaniu posłuszeństwa na Strukezaszycy, natychmiast przybiegł na przelaj, i dał znać jak się to odbyło.

Hojski niespokojny był trochę; przyczajenie się nieprzyjaciela, wydawało mu się podstępem, rzeczą podejrzaną.

Komornik też ruszył z duszą na ramieniu, odmawiając zdrowaśki. Cała nadzieja na tem była, że urząd zjeżdżał, a w odwodzie kilkunastu zbrojnych towarzyszyło. Nadspodziewanie odbyło się wszystko spokojnie. Nie opierał się nikt. Dwór stał pusty; nawet drzwi i okna zawczasu z niego powymowano i kawał dachu zdarto; w żadnym śpięchru nie było ani prószynki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Pośpiech Reżysery w wystawianiu starych sztuk.—„Nasi poczciwi wieśniacy,” przez V. Sardou, w przekładzie pana M. Chrzanowskiego, — komedia wystawiona na scenie Warszawskiej d. 21 Maja r. b.—Czy niema nikogo w teatrze, ktoby dbał o poprawność i czystość języka? — Gra artystów.

Tkwi coś niedocieczonego, coś niedającego się objaśnić prostym rozumem, w wyborze sztuk tłómaczonych dla naszego teatru. Nie chodzi nam tym razem o wartość wyboru, bo sztuka, o której mówić zamierzamy, ma ją niezawodnie, a wreszcie jest pióra W. Sardou; ale o *czas* w którym zazwyczaj ukazują się na scenie utwór, który należało przedewszystkiem przyswoić wtedy, gdy był *nowością*. Komedia *Nasi poczciwi wieśniacy*, (nie wiemy dlaczego na afiszu jest tylko: „Poczciwi wieśniacy”), grana była, jeśli się nie mylimy, dziesięć lub dwanaście lat temu, a nadto nie z wielkim powodzeniem; później zaś cieszyły się wielkim rozgłosem następne tegoż autora: *Wuj Sam*, *Andrea*, *Mieszkanie z Pont-Arcis*, a przedewszystkiem *Dora*. Otóż dlaczego reżysery zaczyna od najdalejszego i to od stosunkowo szarego końca?—dlaczego nie trzyma się wyborowego systematu, nadającego światłość każdemu teatrowi, to jest przedstawiania z dzieł obcych *nowości* nagorąco, czyli wtedy, gdy one zajmują uwagę na wszystkich scenach europejskich? U nas wreszcie, obciąża jeszcze zwyczaj ten, ta okoliczność że teatryki ogródkowe, wszystkie sztuki rozgłosne francuzkie, grywają podczas lata, grywają gorzej lub lepiej—mniejsza o to—ale koniec końców, zapoznają z nimi i naszą publiczność, żadną, jak każda, nowości.

Energia przeto reżysery w zapoznawaniu publiczności ze sztukami, o których sceny zagraniczne dawno już milczą, a które dotego znane są już jej mniej więcej z ogródków, z przejazdów zagranicą, lub choćby z czytania, jest, conajmniej, spóźnioną.

Lecz nareszcie ujrzelismy tę długo zapowiadaną komedię, obsadzoną najlepszymi naszymi siłami artystycznymi, wbrew zwyczajowi stosowanemu przez Dyrekcyę do sztuk oryginalnych. Zwyczaj tego, co prawda, dobrze sobie wytłómaczyć nieumiemy, bo przecie literaturę naszą i scenę, więcej zajmować powinien los utworów oryginalnych, aniżeli Dumasa lub Sardou, którym zdaje się niewiele na powodzeniu u nas zależy.

Cel sztuki, streszcza się już w samym tytule, niezmiernie ironicznym, i zapowiadającym wyraźnie: „Chcecie poznać tych *naszych* poczciwych wieśniaków, wy zwłaszcza, Paryżanie, co tak tęsknicie za ich naiwnością, prostotą i zącą szczerością;—za zielonym gajem, strumykiem, w którym pragniecie łapać rybki na wędkę, za szumem drzew i śpiewem ptaszek—słowem, za całą tą sielanką, o której tylko czytacie, zasiedzeni w murach stolicy: dobrze, poznajcie ich! Kupcie sobie u nich kawał ziemi, wpiście się do gminy, starajcie się dla niej o ulepszenia, o postęp, — a wkrótce zobaczycie z bolesną swoją stratą, że ci naiwni wieśniacy, chytrze jak lisy, podstępnie jak węże, złośliwie jak ciemni i napół-dzicy, albo wam życie zatrują nazawsze, albo przynajmniej zbrzydzą wam sielankę tak, że o niej odechce się wam i czytać.”

Wieśniacy ci w sztuce W. Sardou, mieszkają niedaleko od Paryża, dokąd nocami przywożą jarzyny, za które drogo płacić sobie każą. Znają więc Paryż tylko z cieni nocnych, co trzeba wziąć i w znaczeniu moralnem, gdyż Paryż wydaje się im otefląnią zepsucia i zgnilizny, a Paryżanie szatanami, pod których stopami siarka się zapala. Ta bliskość Paryża, nadaje tym wieśniakom charakter małomiasteczkowy, do którego zbliżają się, cechami podobnymi, miasteczka w naszym kraju. Cechy te znane są powszechnie: plotkarstwo, równające się potwarzy, złośliwość gruba, ciesząca się z błędów i nieszczęścia sąsiada,—a cóż dopiero obcego! nieustanna sieć drobnych intryg, wikłających ofiarę w sposób niezmiernie dotkliwy. Grzechy te płyną z ciasnego horyzontu działalności, z zazdrości ku wszystkiemu, co istotnie wyższe i wyższemi chodzi drogami,

Grzechy wieśniaków w sztuce W. Sardou, płyną przedewszystkiem z nieoświecenia, i z owej zazdrości partykularzy, które sądząc, że wszystko na ich gruncie dzieje się najlepiej, nienawidzą wszelkiej zmiany, wszelkiego postępu i wogóle wszelkiej nowości, czy ją reprezentuje człowiek czy rzecz sama.

Na czele tych zacofanych „poczciwych wieśniaków,” stoi p. Floupin, farmaceuta miejscowy, głowa niby najtęższa, a przynajmniej przewodniczący charakter czarny; Grinchu, ogrodnik, człek ograniczony i mściwy, prawe ramię Floupina, i Tétillard, korzennik.

Paryżanami, czyli ofiarami tychże, są: baron, który w tej gminie został na swoje nieszczęście merem, żona jego i jej siostra; pan Morrison, mieszczuch czystej wody, który właśnie przyjechał zażyć tej sielanki, o której marzył całe życie, a najgłówniej, syn jego Henryk.

Wieśniacy nie cierpią barona, a to za podmuchem Floupina, który sam chce zostać merem i pragnie się go pozbyć, ale jak?

Na nieszczęście, ułatwia im sprawę lekkość zbyt młodzieńcza Henryka, który, poznawszy baronową i jej siostrę w Pirenejach, przyczepił się do tej pierwszej z całą brawurą polującego na wrażenia młodzika. Baronowa w odpowiedzi posunęła kokieterią aż do pisywania listów, niewiedząc nie o tem, że siostra jej zakochała się na dobre w Henryku, który z równą bezmyślnością nie odrzucał i jej affektów.

Ta miłostka popchnęła go właśnie do namówienia ojca, aby kupił własność w pobliżu własności barona, czego stary Morrison, ubóstwiający swego syna, usłuchał bez namysłu. Henryk, któremu napisała żalująca już winy baronowa, iżby jej listy oddał, i któremu równocześnie Genowefa daje klucz od furty w parku (dosyć to dziwne, jeżeli ma być tylko naiwnel) iżby ich swobodnie odwiedzał, zakradł się zaraz pierwszej nocy do parku, ale tu już spostrzegł go Grinchu i nawet schwytał jego kapelus. Grinchu zawiadomił o tem Floupina, właśnie gdy ten podsuwa im plan wyrzucenia barona z merowstwa, i tak oto jedno z drugim, bardzo zręcznie się składa, że gdy ci chcą koniecznie wytropić nocne historie w parku barona, ażeby go skompromitować i przez to zmusić do zrezygnowania z merowstwa, Henryk, nie z tych podziemnych knońców nieprzypuszczających, wybiera się drugiej nocy na podobną wyprawę.

I wtedy następuje to, co się już nieraz powtarzało w sztukach W. Sardou: mąż powraca, kochanek chce uciekać; ale tam pilnują wieśniacy i schronić się niema gdzie, bo z jednej strony jest pokój Genowefy, z którą dopiero w bardzo pięknej scenie się pożegnał, a z drugiej sypialnia baronowej—a co gorzej, ona sama w najwyższej rozpaczce przeklina go i woła, że ją mąż zabije.

Co czynić? Henrykowi przychodzi myśl: zrywa brylanty z jej szyi, i daje się schwytać jak złodziej w chwili, gdy powraca mąż.

Pomysł ten kończy akt III, niezbyt nowy (bo znajdujący się w „Ferreol,” w analogiczny sposób w „Czarnych dyabłach” a i w powieści „Chaines de fer”), jest jednak z wielką siłą dramatycznej prawdy wyzyskany przez autora w akcie IV, który uważamy jako koronę sztuki, jako dowód wielkiego talentu W. Sardou.

Od samego początku aktu, t. j. od rozmowy barona z Henrykiem, którego chce uwolnić, do wejścia starego Morrisona, który, dowiedziawszy się od syna o co chodzi, w rozpacz i udręczeniu zdradza go mimowoli, aż do badania przez sędziego śledczego i do wykrycia całej prawdy, która staje nagle przed oczyma barona jak najstraszniejsze widmo piekła, widz czuje się wzruszonym, nie żadnymi efektami działającymi na nerwy, ale prawdziwą, szczerą dramatycznością, płynącą z uczuć szlachetnych a prostych, z powikłania jakkolwiek zaczerpniętego ze zwykłego życia, przeciwieście niepozabawionego tragicznej grozy.

Miłość ojca dla syna, gotowa do najwyższych poświęceń, do utraty czei własnej, do zniesienia więzienia, byle ocalić syna od kuli barona — bo Henryk na tę kulę nie odpowie—dała autorowi sposobność ukazania całego bogactwa artystycznych swych i psychologicznych zasobów, a zarazem przygotowania sytuacji, którychby każdy mistrz dramaturgii pozazdrościł. Co jeszcze tem

większy sprawia efekt, że wśród tej grozy, wśród tej męczącej ciszy, w której tylko czujesz anioła śmierci, unoszącego się nad głowami, zastęp owych wieśniaków, czuwający z całą złośliwością świadomą nieszczęścia, jakiego narobi, zjawia się cochwila, mieszając po szekspirowsku szorstką swą komiczność z uroczystym tragicznym nastrojem. Więc też po spuszczeniu zasłony w akcie IV, widz staje się niezmiernie rozciekawionym codo przyszłego rozwiązania, przekonany, że ono się bez śmierci nie obędzie.

I tu jednak talent i dowcip autora, a przedewszystkiem wytrawność jego sceniczna, której chyba żaden z dzisiejszych komedyopisarzów nie dorównał, zdołała sobie wybornie poradzić.

Wprawdzie naiwna Genowefa jest tym *deus ex machina* i to w takim momencie, gdy już Henryk czeka w parku na barona, ażeby zakończyć z nim pojedynkiem amerykańskim; ale jest ona rzeczywiście tak lubą i naturalną, gdy opowiada szczerą swą miłość dla tego Henryka i kilkoma szczegółami usuwa wszelkie podejrzenia barona codo winy jego żony, że się dziwić wcale nie trzeba, iż na nowo wskrzeszony z bólu baron, całuje ją serdecznie, biegnie po żonę i przytula ją do piersi z przebaczeniem.

Ale tymczasem słychać strzał. Baron porywa za list, który Henryk zostawił, odchodząc. Z przeżeniem czyta, że on sam sobie życie odbierze. Mileczenie złowrogie Wpada zrozpaczony ojciec— a w tem krzyk i wrzawa, z pomiędzy której słychać głos Henryka:

„Co się to stało?”

„Ci sami wieśniacy, ciągle szpiegujący, ujrawszy Henryka z pistoletem, dogonili go, wyrwali mu go; pistolet wypalił, kolbą uderzył Grinchu, któremu się zawsze coś dostaje, a ofiarę przyprowadzono tutaj.”

Rozwiązanie dowcipne, lubo przypominające zakończenie w „Naszych najserdeczniejszych”. Widz wszakże czuje wdzięczność dla autora za to, że wynagrodził boleść starego Morrisona, a nawet nie ma nic przeciw temu, że zbyt młokosowaty i lekkomyślny Henryk, ustali się nareszcie przez ożenienie się z Genowefą.

Rozpatrując się w całości komedii, widzimy, że z wyjątkiem oryginalnego i nader pięknie przeprowadzonego aktu IV-go, reszta nie obfituje w pomysły świeże, a wiarołomstwo mniejszego lub większego rozmiaru, jak u wszystkich francuzkich pisarzy, tak przedewszystkiem u W. Sardou, główną jest podstawą i siłą obrotu.

Wyjątek od tego stanowi najnowsza sztuka Augiera *Les Fourchambault*, gdzie przecie nareszcie dowiedzieli się Francuzi o czemś innem, lubo dosyć pokrewnem z wiarołomstwem.

Tłó „Naszych wieśniaków” ów światek pełen przywar i śmieszności, jakkolwiek przeplatany jest wielu scenami rzeczywistej komicznej wartości, nie jest jednak rzeczą nieznaną, zwłaszcza dla publiczności polskiej. Ten sam zaś temat szerzej obrobiony, powtórzył sam Sardou w sztuce jej najnowszej p. t. *Les bourgeois de Pont-Arcis*.

Przytem niepodobna nie dostrzedz długości ekspozycji i wielu scen tak niepotrzebnych, tak niedowcipnych a pospolitych (prawie cały akt pierwszy), że zaiste policzyć je wypada na karb śmiałości autora, który wielkie swoje powodzenie wyzyskuje najdowolniej.

Pranie bielizny, od czego się sztuka zaczyna i łapanie na wędkę, trwające przeszło kwadrans, nie da się usprawiedliwić niczem: ani koniecznością akcyj, ani sytuacją, ani ochotą umieszczenia jakiego dowcipu, którym przecie Sardou tak celuje, a którego tam wtedy niema wcale.

Wogóle, co scena niemal, przypominają się rzeczy znane już z samych komedij tegoż Sardou, ale mimo to trzymają one widza w naprężeniu, powabem dowcipu i wielce zgrabnego wiązadła scenicznego, które niby ciągle nowe odkrywa perspektywy.

Prosty rozsądek, który się często w teatrze odzywa doraźnymi uwagami, i tym razem zarzucał wiele nieprawdopodobieństw, a nawet nielogiczności; ale ponieważ jest to komedia czysto-francuzka, taka, jaką lubi ten naród goniący za krótkotrwałym, choćby byle wrażliwym efektem, więc się na nią zgodzić trzeba, tak samo, jak się godzimy na

paradoxa Dumasa syna. Ktoby zaś chciał w dzisiejszej komedii francuskiej szukać śladów Moliëra, namozoliłby się nadaremnie, jak wogóle nadaremnie—z wyjątkiem jednego Augiera — szukałby w niej charakterów. Trwałych zaś charakterów, takich, które w pamięci jako typ zostają, nie znajdzie nawet u Augiera, który jest głębszym od Sardou, a poważniej myślącym od, chorobliwie na społeczeństwo patrzącego, Dumasa.

Dlatego i w „Naszycy poczciwych wieśniakach“ charakterów szukaćby nadarmo.

Jeden jedyny Morrison, zwłaszcza, gdy w akcie IV ukazuje się nam w całym świetle szlachetnej postaci ojca, zasługuje na nazwę charakteru.

Inni, jak Genowefa, jest poraż dziesiąty przenicowanym lubo wdzięcznym niewiniątkiem i to ze sztuk tego samego autora; żona barona jest bładym i bezbarwnym cieniem; Henryk pozornie świetniejszym i żywszym—ale jakże mu daleko do doskonałego typu młodzieńca w „Fałszywych poeciach“!—baron równie pizy wszystkich porach energii i żywości, figurą znaną. Sylwetki zaś Floupina, Tetisarda, a zwłaszcza Grinchu, bardzo dowcipne a nawet komiczne, ale są to tylko sylwetki, jak wreszcie przy tem założeniu sztuki inaczej być nie mogło.

Z tem wszystkiem, komedia powinna mieć i będzie miała powodzenie, bo jest zawsze utworem autora rzeczywistego talentu, a przedmiotem swoim, chociaż znać na nim barwę tendencyjnie lokalną i do tego polityczną, nie jest bynajmniej od nas oddalona.

Przekład, dokonany przez M. Chrzanowskiego, nie odznacza się poprawnością.

Tłómacz nie może sobie zdać jasno sprawy: kiedy użyć: „mnie“ a kiedy „siebie“ — używa: „prędzej“ zamiast „dawniej“, powiada, że „członkowie tej gminy etc. są bałwany“. Genowefa, jako panna dobrze wychowana, nie powinna mówić do tego, którego kocha: „pan zalecał się do mnie“. Jest w tem gminność i trywialność.

Atoli nie to nas dziwi, tylko ta bezwiedność, czy niedbałość, czy nieumiejętność reżyserji, która się na tego rodzaju niezbędne poprawki, zdobyć nie może. Wszak, jeżeli gdzie, to na scenie, o czystość języka dbać jest obowiązkiem; inaczej nie godziłoby się pogardzać tak bardzo aktorami prowincjonalnymi, którzy mówią: „*rekamy i nogamy*“ i co drugi wyraz kaleczą mowę. Ci nie mają często czasu, a nie mieli sposobności wykształcenia się jak należy.

Codo gry artystów, była ona wogóle całkiem zadawalająca.

Naturalnie, nie mówimy tu o praczkach w pierwszym akcie, które mówiły coś pod nosem, czego nikt nie był ciekawy sprawdzić. Pani Sawicka, między innymi, lamentowała bardzo długo i biegnąc po scenie, chcąc na grę swoją uwagę zwrócić, ale gdy zeszła ze sceny, nikt już za nią nie tęsknił. Prawda, że na naszej scenie pogardzają małymi rolami, lecz zapewne dlatego, że małych studyować nie warto, a na studyowanie ważnych, brak zdolności i jakiegotakiego zrozumienia. Dlatego jednak tyle tych sił podrzędnych utrzymuje się w personelu, gdy z nich nietylko nigdy żadnej pociechy, ale zawsze prawie przykróść?

Zółkowski w roli Morrisona, od chwili gdy do broduśność jego przechodzi w straszliwy niepokój rozpacz, dał nam nową próbkę znakomitego i rozległego swego talentu. Wyraz twarzy, drżenie głosu, naturalność cierpienia, były tak porywające, że publiczność zdziwiona tym nowym objawem genialnego artysty, podziękowała mu kilkakrotnym oklaskiem. Niemniej Królikowski w roli barona, wywoływał potężne efekta, zwłaszcza w akcie IV i V. Na takich dwóch artystów grających razem, patrzeć—jest istotną rozkoszą.

Pan Ostrowski (Grinchu) doskonale ucharakteryzowany i bardzo komicznie grający, wzbudził ogólne zadowolenie, a p. Szymanowski jako Floupin, zły, może tylko ucharakteryzowany, wybornie oddał swoją mowę jako przyszłego mera, oraz rozmowę z baronem.

Pan Tatarkiewicz umiejętnie i jak zwykle z talentem, odtworzył trudną rolę Henryka; pragnęlibyśmy tylko, ażeby w scenie badania go przez barona mniej okazywał wzruszenia.

Panna Popielówna (Genowefa) chociaż rola jej była

znowu jednym tylko z odblasków głównego takiego typu naiwnego dziewczęcia, przecież dała jej sposobność zachwycenia widzów, uroczym wykonaniem szczegółami, jakoteż harmonijnym pojęciem całości tej postaci.

Nareszcie przynależać trzeba pani Leszczyńskiej, że małą swą rolę odegrała wdzięcznie.

E. Lubowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Psalterz Dawidowy, przełożony wierszem polskim przez *Kazimierza Bujnickiego*. — Toruń, nakładem własnym, w kommissie księgarni Nowej w Toruniu. 1878. 8-o min. str. XXIV i 303.

(Dalszy ciąg).

Psalterz Rysińskiego był ostatnim już przekładem protestanckim; wkrótce nastąpiły dni ciężkie dla tego wyznania, które w XVI wieku wespół z Odrodzeniem takie życie u nas było zbudziło. Zaczęto od dekretu zamykającego szkołę w Rakowie; skończono na pozbawieniu wszelkich innowierców większości praw obywatelskich i wszystkich politycznych. Katolicyzm jednak w XVII w., zostawszy sam na widowni życia publicznego poza obrębem miast większych, nie wzbogacił literatury religijnej żadnymi umiejętnymi utworami. Ostatnie lata Skargi i, współczesnika i współzawodnika w jego potęgę i sławie, Birkowskiego, przypadają jeszcze na epokę przejęcia. Prócz traktatów i panegiryków i ksiązek modlitewnych — nic nie tworzone. Poezya drzemała: czyżby to wskazywało, że mimo wszelkich zewnętrzności we wnętrzu sere ludzkich nie było już tego świętego a potężnego ognia, który, jeśli tylko jest, to koniecznie już wyjście, dla siebie—jak tego sztuka włoska XIV i XV wieku niewzruszonym dowodem, — w poezji i wogóle w pięknotwórstwie znaleźć musi i znajdzie? Psalterz Dawidów poszedł w zapomnienie; znajdowano czego potrzebowano w modlitewnikach, o resztę się nietroszcząc. Po roku 1641 ani razu aż pod koniec XVIII wieku nie przedrukowano przekładu Kochanowskiego. Wyszedł tylko *Psalterz Wujka* na początku tegoż stulecia; widocznie psalmy do śpiewu nie były potrzebne — nie śpiewano ich wcale. Katolicy obywali się bez Biblii, bez Nowego Testamentu nawet, i po tylu przekładach i wydaniach Pisma Ś-go w XVI do połowy XVII wieku, od tej chwili, gdy wzięła początek zupełna przewaga na polu religijnem a zupełniejsza jeszcze niedoła na polu społecznem i politycznym — pytamy: które z dwóch wyznań więcej wydań świętych ksiąg swoich przedstawić może: czy wyznanie większości przeważającej czy mniejszości przeważającej? Nie pierwsze—to zaiste, nie pierwsze! Trudno prawie uwierzyć, że *Nowy Testament Wujka*, ukazawszy się w druku w r. 1647, po 93 latach dopiero doczekał się nowego wydania (1740 we Wrocławiu). Ale zato dość przejrzyć dział panegiryczny w *Jocherze*, aby poznać: jaki był kierunek umysłów i jaka istota tej religijności, która w dziedzinie ducha powoli, rok za rokiem, stawała się jedynowładną, aż wreszcie nie miała już czem władać — ducha nie stało.

Kochowski swoją *Psalmodyę* z roku 1693 wydał w prozie, — on, co taką łatwość w wierszowaniu, nawet oktawami aryostycznymi, posiadał; a w tej *Psalmody* 35 psalmów Dawida po większej części posłużyło mu tylko za kanwę, którą zarobił własną treścią, narodową i katolicką, miejscami zacną i piękną, — i psalmodya też jego pod rubrykę Psalterza Dawidowego nie podpada.

Pierwszym wydaniem Psalterza po stu kilkudziesięciu latach zupełnej pustki i bezczynności, oprócz powyższej edycji Wujka, dokonaniem, była edycja Wileńska z r. 1764. Nie znamy jej i nie o niej powiedzieć nie możemy. W 9 lat później wyszedł także w Wilnie, ofiarowany J. W. I. Pani z Tyzenhausów Morykoni „*Skarb pobożnych affektów i żalów serdecznych*“ w zupełnym Psalterzu Dawida świętego zakopany — a tytułem swoim przypominający owe,

z epoki Zaćmienia Umysłów pochodzące *Wozzy* i *Ścierki*. Jocher (2401) objaśnia: „tłómaczenie wierszem“; musimy na jego słowie polegać, dając temu psalterzowi wierszowanemu z r. 1773 porządkową liczbę piątą z rzędu przekładu polskiego, dokonanego wierszem.

W tym samym roku i w tem samym miesiącu wyszedł przekład psalmów wierszowany, pod tym tytułem: *Wiersz na siedm psalmów pokutnych* Wacława Rzewuskiego. Jednocześnie, bez żadnej zmiany, ukazało się wydanie Warszawskie (5). Psalmy I i III w tym zbiorze niepospolitym odznaczają się wdziękiem; szczerze je przejmując uczucie; tłómacz sam odczuł w sobie niedolę Dawida, a raczej swoją własną boleść z Dawidową zespolił. Przekład w tych dwóch psalmach odznacza się potocznością; nie jest zupełnie wiernym, ale też i nie bardzo od oryginału odstaje — duchem zaś jego nawskroś przejęty. Te dwa psalmy czytają się dziś z większym zadowoleniem niż najnowsze, przed obecną pracą pana Bujnickiego, tłómaczenie, które wydał Pol w r. 1849 (*Dzieła Wincentego Pola*; T. V, str. 243—256). Czytelnik sam porówna następujące dwa ustępy u Rzewuskiego z odpowiedniami u Pola:

Z Psalmu I:

Codzień gorzkimi zalewam się łzami,
A każdą chwilę oznaczam jękami,
Conoc zaś myję chusty mej pościeli
W zdroju mych oczu, w łez moich kąpieli.

Z Psalmu III:

Wyżej mej głowy złość ma górę wzięła,
Cięża sumieniu memu złe me dzieła,
Jad grzechów moich zgnoił moje rany;
Na ciele'm chory, z rozumu'm obrany.

... Upokorzony, łzy wylewam rzewne,
Ryczę, zważając Twe poróżki gniewne;
Panie, patrz na mą skruchę, na me szlochry:
Odpuść mi, bom człek ułomny i płochy.

Inne psalmy, szczególnie II i IV, słabe. Ten ostatni zupełnie unowocześniony, jest głosem katolika, a nie Dawida. Nadto w końcu każdego psalmu znajduje się czterowiersz:

Niech słyńie wszędzie, o wszystkich dobach
Pan świata, jeden Bóg w trzech osobach,
Ojciec, Syn i Duch Święty, my go chwalmy,
Śpiewając psalmy.

Szósty przekład wierszowany wszystkich psalmów ukazał się w r. 1786 w Warszawie. Wykonał go Karpiński. Brodziński w mowie pochwalnej z r. 1827 mówi z powodu tego przekładu: „Muza jego (Karpińskiego) jest mieszkanką dolin, gajów słowicznych, dumającą nad strumykiem, spokojnie płynącym; nie dla niej są wzniosłe siedliska orłów, i głos jej słabiej przy gór huczającym potoku. To okazuje szczególnie jego przekład psalmów Dawida i własne jego pieśni pobożne. Przerobił on tylko psalmy przez Kochanowskiego przełożone i więcej je do śpiewu zastosował; atoli mniej niż Kochanowski przejąć się zdołał Dawidem, tam, gdzie tenże wzniosłe wystawia obrazy i tam tylko, gdzie łagodne obrazy i spokojne psalmista uczucia maluje, oddał go należycie i często Kochanowskiemu wyrównał“ (6). Do tych słów nie dodać nie możemy, chyba to tylko jeszcze na korzyść Kar-

(5) Oba wydania wyszły w r. 1773; w obu mieszczą się prócz 7 psalmów, jeszcze 4 pieśni: do M. Boskiej, *Kto się w opiekę* i dwie do Ś-go Józefa; w obu tytuł jak wyżej w tekście, uzupełniony jeszcze wymienieniem godności autora i miejsca napisania psalmów; w obu też sama dydaktyka od autora, toż samo upoważnienie cenzury duchownej Wileńskiej z d. 23 Lutego 1773 r. — odmienna tylko pochwała autora przez trzeciego. W Wileńskim wydaniu pochwalny wiersz do Rzewuskiego jest bez podpisu, w Warszawskim z podpisem „G. P. S. J.“ W wydaniu Warszawskim na tytule i nad I ps. znajdują się małe, udatne, delikatnie wyrte rysunki allegoryczne. Edycja Wileńska, in 4-o minori, na bibule, str. 18, wyszła z drukarni J. K. M. i Rzpłitej Ak. Soc. Jesu; Warszawska w 12-o, na papierze tęgim, czerpanym, zielonkowanym, stronic liczbowanych 41, wydana przez Michała Grolla (*tak*) „*Fod znakiem Poetów*“.

(6) *Dzieła Franciszka Karpińskiego*, wyd. Tur.; str. 16.

pińskiego, że przerabiając psalmy Kochanowskiego, zarazem i niektóre z nich sprostował w tych ustępach, w których poeta XVI w. nie był wiernym tekstowi. Sam Karpiński przyznaje się tylko do tego, że 16 psalmów przerobił, 6 zaś żywcem, z drobnymi zmianami wyrazów przejął — reszta ma być jego własną pracą. W kilku psalmach z tej reszty przekonał się, że zacny poeta-ziemianin ulegał samozłudzeniu. Ze trzydzieści psalmów po psalmie C. przetłumaczył do zbioru Karpińskiego Książnin.

W XIX w. wydawano kilka razy osobno Psalterz Karpińskiego (1807, 1826, 1829 i w zbiorowym wydaniu Turowskiego) i w pierwszym półwieczu widocznie uważano go za lepszy od Psalterza Kochanowskiego, ten ostatni bowiem przez lat 50 czterech doczekał się tylko oddruków: całkowitego w edycjach: Mostowskiego (1803), powtórzonej u Korona we Wrocławiu (1825) i Bobrowicza (1835) oraz częściowego: w Połocku u Jezuitów (1816) (?). Dopiero od czasu edycji Przemyskiej (1857) wrócono do poety XVI wieku i pomiędzy rokiem 1860—1870 wyszły aż trzy osobne wydania jego Psalterza. Tegoczesność spłaca tym sposobem dług przeszłości, która grzesznie przez półtora wieku blisko pracę *Księcia Poetów* w niepamięci nurzała⁽⁸⁾.

Teraz też dopiero, w naszym wieku, wróciła doba poetycznego opracowywania psalmów Dawidowych. Najdawniejszą jest praca Niemcewicza w edycji dwunasto-tomowej pism jego poetyckich zawarta. W roku 1830 wydał Witwicki w Warszawie *Poezye biblijne*, stojące w rzędzie najpiękniejszych utworów naszej poezji religijnej, wielce przypominające psalmy hebrajskie, niekiedy całemi ustępami z nimi tożsame; ale właściwymi przekładami, podobnie jak późniejszych poezji Ujejskiego i Pajgerta—tych rymotwórczych prac Witwickiego nazwać nie można. Rzeczywiste przekłady znajdują się dopiero pomiędzy *Pismami lirycznymi i religijnymi* Fr. Zatorskiego, w trzy lata po Witwickim również w Warszawie wydanymi. Pierwsze półwiecze XIX stulecia zamyka przekład *Psalmów pokutnych* Pola (1849), o którym okolicznościowo wspomnieliśmy już wyżej.

Na początku drugiego półwiecza wyszedł w Warszawie psalterz w nowym przekładzie: *Psalmi przełożone dosłownie z osnowy języka hebrajskiego na język polski przez byłego urzędnika etc.* (1854)—praca, o ile sądzimy, nieobojętna dla tłumaczących psalmy Dawidowe. Ale jest to proza; sama dosłowność wyłączała opracowanie poetyckie. Możemy przeto, z zastrzeżeniem jedynie codo poetów, których poprzednikiem był Witwicki i z wyjątkami drobnymi, które nawet w *Bibliografii Estreichera* zaznaczonymi być nie mogły, — możemy powiedzieć, iż p. Kazimierz Bujnicki jest od czasu Pola pierwszym tłumaczem psalmów, jego zaś praca od lat 92 — pierwszym z przekładem zupełnym w naszej literaturze, a siódmym z rzędu od czasów „*namniewiczyszego prawie Służebniczka*“, jak się w skromności swej Lubelczyk nazywał. Pomędzy obu przekładami, pierwszym i ostatnim, zalega ogrom czasu: lat 320.

Ten ostatni przekład godnie staje obok swoich poprzedników. Jestto praca sumienna, z widocznym zamiłowaniem przedmiotu dokonana, dobrym wogóle językiem odznaczająca się, wierszowana nie bez uchybień, ale też i bez ciężkich grzechów, miejscami dająca czytelnikowi to radośne zadowolenie, jakim tylko szczera poezja daryć może. Sumiennosc przekładu okazuje się

(7) Pomijamy przedruk częściowy w *Nowej Bibliotece* wydanej przez *Tańskaw* latach 1838 i 1839 u Schlettera we Wrocławiu.

(8) Od r. 1641, w którym wyszły poraz ostatni w XVII w. Psalmy Kochanowskiego aż do r. 1767, w którym Bohomolec nowe wydanie zbiorowe ogłosił, czyli przez lat 126, według świadectw bibliograficznych nie było ani jednego przedruku nie tylko Psalterza, ale i innych rymotwórczych prac poety Czarnoleskiego. W tem wydaniu zbiorowym, które ukazało się po 128-letniej przerwie, znajduje się i Psalterz. Materiał bibliograficzny do powyższego tekstu czerpiemy nie tylko z *Bibliografii XIX stulecia*, Estreichera, ale i z szacownej, wyżej już powołanej, pracy Stanisława Przyleckiego przy wydaniu Turowskiego (Przemysł 1857), gdzie z wielką skrupulatnością podany jest wykaz wszystkich pojedynczych i zbiorowych wydań poezji Kochanowskiego. Opracowanie bibliografii jest tu prawdziwie wzorowe.

w usilnem staraniu tłumacza, aby jak najmniej od tekstu się oddalać; z porównania nowej pracy z trzema dawniejszemi (Kochanowskiego, Rybińskiego i Karpińskiego), któreśmy poznać mogli, nabraliśmy tego przekonania, że najpóźniejsza jest też ze wszystkich najwierniejszą; oczywiście, przymiot ten posiada ona tylko w stosunku do tekstu, który jej za przewodnika służył, t. j. do Wulgaty spolszczonej przez Wujka. Trzymania się Wulgaty dowody mamy jawne na każdej stronie; sam zresztą tłumacz przeświadczenie w tej mierze ułatwił przez zaznaczenie w przekładzie swoim odpowiednich wierszy tekstu łacińskiego. Nie wiemy, o ile inne, bardziej źródłowe, tekst pomocnymi były p. B.; pod tym względem żadnego w książce nie znaleźliśmy objaśnienia.

(Dokończenie nastąpi).

KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Posiedzenie publiczne Akademii Umiejętności. — Stacya higieniczna w Krakowie. — Odczyt o etnografii. — Literatura dramatyczna i cztery nowe sztuki. — Koncerty pani Artót. — Nowe książki. — Jubileusz Kraszewskiego w Krakowie.

Kraków, 15 Maja 1878.

Publiczne posiedzenie Akademii Umiejętności odbyło się jak zwykle d. 3 b. m. Czytelnikom „*Bluszczy*“, chociażby z listów moich poprzedników na tem miejscu wiadomo zapewne jaki jest programat tej naukowej uroczystości. Posiedzenie zagaja wice-protector Akademii (jest zaś nim Namiestnik Galicyi, hr. Alfred Potocki), potem następuje sprawozdanie administracyjne prezesa, po niem sprawozdanie z czynności naukowych Akademii, składowane przez sekretarza, a w końcu jakaś rozprawa odczytana przez któregoś z członków zwyczajnych. W tym roku taką rozprawą była pochwała Lucyana Siemińskiego, napisana przez hr. Stanisława Tarnowskiego, wspomnienie pośmiertne, jakie zwykle tego rodzaju instytucje poświęcają zmarłym swoim członkom, a które słusznie należało się Siemińskiemu, jako jednemu z najświetniejszych luminarzy Akademii. W ostatnich czasach szeregi akademików krakowskich bardzo znacznie się przeczędziły; to też w tym roku dosyć liczny jest zastęp kandydatów, którzy ubyliwych w krzesłach akademickich i w pracy naukowej zastąpić zostali powołani. Jako kandydatów, których ostateczne zatwierdzenie na posiedzeniu prywatnem Akademii w Październiku ma nastąpić, ogłoszono na niniejszem posiedzeniu następujące osobistości: w wydziale filologicznym: na członka zakrajowego X. Wacl. Sztulca, prałata kapituły wyszehradzkiej w Pradze; na członka zagranicznego Dra Jagicia, profesora filologii słowiańskiej w Berlinie; na członków korespondentów: Dra Wisłockiego i X. Polkowskiego (obu przebywających w Krakowie). W wydziale historyczno-filozoficznym proponowani są na członków czynnych krajowych: Dr Fr. Piekosiński i dotychczasowi członkowie korespondenci: prof. Liske ze Lwowa i X. Waler. Kalinka, znany historyk; na członków czynnych zakrajowych: Dr Antoni Randa profes. Uniwersytetu prazkiego i X. Flor. Romer prałat w Peszcie; na członka czynnego zagranicznego Dr Kazimierz Jarochoński w Poznaniu, i wreszcie na członków korespondentów: Dr Michał Bobrzyński i J. N. Sadowski, archeolog. Wydział matematyczno-przyrodniczy jeszcze dawniej, na posiedzeniu październikowem, nowych wyborów był dokonał.

Z konkursów rozpisanych przez Akademię przyznano w tym roku nagrody: panu Maryanowi Dubieckiemu, za pracę p. t.: *Kudak, twierdza kresowa i jej okolica*, tudzież panu Jaroszewskiemu za pracę p. t.: *Gospodarstwo worowe*. Oprócz tego z funduszu pochodzącego z Warszawy (w summie 300 rs.) a przeznaczonego na nagrodę za pracę obejmującą *Zasady moralności slug*, otrzymał X. Oświecimski połowę summy nagrodowej 150 złr. za wydanie tłumaczenia polskiego książki pod tytułem: *Rady dla służących* przez X. Bussowa. Pozostaje jesz-

cze do udzielenia nagroda za najlepszy wynalazek lub dzieło ogłoszone drukiem, w przedmiocie *leczenia chorób epidemicznych lub zaraźliwych u ludzi albo u zwierząt*, na którą Akademia ogłasza powtórnie konkurs z terminem do końca Marca 1880 r.

Hygieną publiczną i kwestyami sanitarnymi wogóle zajmują się u nas daleko więcej od niejakiego czasu niż dawniej. Może być, że wpłynęło na to przekonanie, do którego doszliśmy przez wykazy statystyczne śmiertelności, że Kraków nie jest wcale tak bardzo zdrowym miastem, jak sobie to dawniej wyobrażano. Przed kilku miesiącami nawet powstała, z fałszywego zrozumienia rzeczy, przesadna i nieusprawiedliwiona obawa, że w całej Europie niema miasta tak bardzo pod względem sanitarnym upośledzonego. Przestrasz na szczęście okazał się płonnym, ale przyczynił się zapewne nie mało, do tego, że na stosunki higieniczne bacniejszą zwrócono uwagę. Między innymi professor Dr Janikowski na posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego, postawił przed paru tygodniami wniosek: założenia w Krakowie związkowej stacyi doświadczalnej dla badań higienicznych, do którego toż towarzystwo się przychyliło, uznając w zupełności potrzebę podobnej instytucji. W istocie, razem z postępem cywilizacji i coraz wymyślniejszym życiem, zwiększają się codziennie niebezpieczeństwa dla zdrowia i całości człowieka. Chemia szczególnie wyrabia dzisiaj dla rzemiosł i przemysłu tysiące rozmaitych preparatów, na dnie których, choć one z pozoru tak niewinne, leży nie ino tylko trucizna. Nietylko to, co jemy lub pijemy, może nas zatrucić, ale i to, w co się odziewamy, na czem siadamy, w czem jeździmy i t. p. Ta więc proponowana stacya higieniczna, pierwsza w tym rodzaju w Galicyi, będzie się zajmowała badaniem i rozbieraniem rozmaitych przedmiotów w życiu codziennem potrzebnych, a szczególnie artykułów żywności. Czy to gminy, czy instytucye, czy osoby prywatne, będą mogły od niej żądać tej usługi za pewnem wynagrodzeniem. Na tem samem posiedzeniu była także mowa o założeniu u nas towarzystwa higienicznego, na wzór istniejących w miastach zagranicznych. Czy do tego rzeczywiście przyjdzie? dotąd nie wiadomo.

W interesie etnografii polskiej, która na Wystawie paryskiej ma mieć osobny dział dla siebie, był tutaj niedawno wice-prezes Towarzystwa etnograficznego francuzkiego. Aby zebrać jak największą liczbę okazów, objeżdżał znacznie miasta Galicyi, był więc w Przemyślu, w Tarnowie, we Lwowie i u nas, mając wszędzie przytem odczyty, w których wyświecał naukowe znaczenie etnografii, a zarazem przemawiał za popieraniem oddziału polskiego na wystawie. Na odczyt, jaki miał w Krakowie, niewiele zebrało się ciekawych, i w ogóle zdaje się, że ten oddział etnograficzny bardzo słabe w naszym kraju obudził zajęcie. Dają się bowiem słyszeć skargi, iż dotychczas bardzo mała liczba okazów się zebrała. Byłoby to dowodem bardzo grzesznej obojętności, a sława narodowa, mająca tak mało pola do popisu, naraziłaby się na wielkie fiasco wobec zagranicy, że nawet tam, gdzie mogliśmy, przez opieszałość i apatyę, nie wystąpiliśmy z niczem.

Z literatury dramatycznej mieliśmy w ostatnich czasach rzadką obfitosc nowości. Ni mniej ni więcej, publiczność krakowska miała sposobność poznać dwa nowe oryginalne dramata, i tyleż oryginalnych komedyj.

Z dramatów *Niepoprawni*, Słowackiego, są wprawdzie o tyle jedynie nowością, że po raz pierwszy widziano je w tym czasie na naszej scenie. Przed kilku laty była już ta sztuka grana we Lwowie, raz zdaje mi się jedyny, i nie wywarła żadnego wrażenia. Winą tego najglówniejszą było zapewne złe jej odegranie, bo działało się to w smutnej nader epoce lwowskiego teatru, gdzie o nie łatwiej nie było, jak o sparodyowanie szczególnie jakiegoś większego dzieła. Teraz, dzięki p. Ładnowskiemu, który na kilka występów przybył do Krakowa i wziął na siebie trudną, bardzo trudną, rolę hrabiego Fantazego, przedstawienie krakowskie mogło nierównie lepiej wypaść, zwłaszcza, gdy i p. Hoffmanowa w roli Idalii i p. Rychter w roli Majora wybornie ze swego zadania się wywiązali. Nie ośmieliłbym się powiedzieć, że *Niepoprawni* są dramatem dobrym dla sceny; zawiele w nich jest subtelności poetycz-

nych, które giną na scenie, akcja nieszczęśliwie jaśno i wyraźnie prowadzona, tak, że można zaręczyć, iż połowa publiczności nie rozumiała jej dobrze, a jednak taki jest urok w tej poezji Słowackiego, taka pewność i trafność w charakterach, że dramat ten porwa za sobą wszystkich, i choć chwilowo o swych wadach i niedostatkach scenicznych zapominają. Okazało się to na publiczności krakowskiej, która słuchała z uwagą i gorącością ducha pysznych wierszy poety i, zachwycona chwilową sytuacją, nie zważała na to, że nie wszędzie zdołałaby sobie zdać rachunek z całości.

Pan Ładnowski oprócz hr. Fantazego, w *Nieoprawnych*, grał jeszcze w innych dramatach kilka innych ról, jako to: Romea, Otella, księdza Marka w *Konfederatach* Mickiewicza; wystąpił także i w *Cwiartce papieru*. Ze w tych sztukach większego pokroju, on sam jeden umiał „płacić wszystkie expensy,“ rozumie się samo przez się, bo siły dramatyczne w naszym teatrze są obecnie bardzo słabe.

Druk *Maćka Borkowicza* p. Rapackiego, rozpoczął się właśnie w Warszawie. We wstępie autor całkiem dokładnie podał genezę swej pracy a zarazem i kategorię, do której ją zaliczyć trzeba. Z tego powodu miałbym jedynie obowiązek zdać sprawę ze scenicznego wrażenia, jakie ta sztuka wywarła. Pod tym względem należy jej przyznać bardzo wiele zalet; doskonała w niej technika, umiejętne tworzenie sytuacji i wywoływanie scenicznych efektów. Dawniejsze utwory autora nie posiadają tych przymiotów w takiej obfitości, mieszcili jednakowoż głębszą myśl w sobie.

Artykuł 264, komedia w 5 aktach, przez nieznanego dotychczas autora, przyszła do nas z konkursu lwowskiego, gdzie, zdaniem pierwszej, literackiej, komisji, uznana została za godną przedstawienia, a przez publiczność za najlepszą z trzech konkursowych sztuk, które na scenie się ukazały. Prawdopodobnie zatem, komedia ta dostanie nagrodę. Czy zaś w istocie na to zasługuje?—to inne pytanie. Wartość jej literacka bardzo jest niewielka; jest to sztuka, która po kilka razy ukaże się na jednej i drugiej scenie, przez kilka wieczorów rozmieszać będzie publiczność, a potem utonie na zawsze w zapomnieniu. Może autor mógłby ją był lepiej napisać, ale widać wyraźnie, że sadził się na to, z poświęceniem innych estetycznych warunków, ażeby dogodzić temu efemerycznemu i często bezmyślnemu śmiechowi publiczności. Uderzającą jest w niej także rzecz, jak rzadko, że słabość głównej akcji autor pragnie uratować przez wtłoczenie ubocznych, często bardzo naciąganych epizodów. To też mąż i żona, z natury rzeczy najgłówniejsze figury w tej sztuce, są najsłabszymi postaciami, a najplastyczniej wychodzą regent Turca i ciocia Koks: dźwigają oni na swych barkach komizm owych epizodów. Ze stopnia komedii w rzeczywistości tego słowa znaczeniu, utwór ten schodzi częstokroć do kategorii farsy—a kto wie: czy nie najlepiej byłoby w całości go tam umieścić?

Nie zabrakło nam także i innych jeszcze artystycznych przyjemności. Domyślacie się, że pora koncertowa i u nas nie przeszła bezczynnie. Między kilku innymi mieliśmy np. koncert znanego zaszczytnie p. Śmietńskiego, który zwykle przebywa w Wiedniu, a w końcu słyszeliśmy i sławną, a tak dobrze w Warszawie znaną, panią Artôt. Pomimo uprzedzających wzmianek dziennikarskich *ad hoc*, pomimo litografowanych portretów, na parę tygodni przedtem porzucanych po rozmaitych publicznych zakładach, na pierwszych dwóch koncertach, oprócz szczupłej garstki „wyborowej publiczności,“ teatr był prawie pusty. Obecni słuchacze przyjmowali panią Artôt z zapałem, na jaki jej głos i umiejętności śpiewu zasługują; kilka pań z łóż, dla złożenia swojego uwielbienia, chodziło nawet do niej za kulisy: ale cały urok sztuki nie mógł poruszyć ogółu krakowskiej publiczności, bo ceny były podwojone,—a czasy teraz tak ciężkie! Dopiero na trzecim koncercie, kiedy przywrócono zwyczajne ceny, teatr zapełnił się od góry do dołu, a znakomita śpiewaczka miała przyjemność zebrać nie tylko huczniejsze oklaski, ale i więcej guldenów do kieszeni. Od lat dziesięciu, od czasu kiedy widziałem ostatni raz panią Artôt na scenie, osoba jej znacznie się zmieniła; ale głos zachował dawną siłę i świeżość prawie niezmienną.

Między wielu innymi wydawnictwami Akademii Umiejętności, zwrócić winniem uwagę na świeżą jej publikację w nowym rodzaju p. t.: *Archiwum Komisji historycznej*, którego pierwszy tom niedawno wyszedł. *Archiwum* ma być dodatkiem, uzupełnieniem do innego wydawnictwa Komisji historycznej, mianowicie do *Pisarzów dziejów polskich* (Scriptores rerum polon.), i będzie zawierać w sobie mniejsze, historyi zewnętrznej lub wewnętrznej dotyczące się, źródłowe przyczynki, które, nie składając się w żadną z większych całości do druku przeznaczonych, byłyby skazane na spoczywanie w rękopismach. Wydany tom I-y mieści w sobie: Stanisł. Górskiego, „Conciones in Conventu.“ 1537, w wydaniu p. Kętrzyńskiego; „Z dyaryusza kongresu wiedeńskiego 1515 r.,“ w wydaniu p. Liskego; Ulyka Werduma (do orszaku X. Paulmiersa należącego): „Dyaryusz wyprawy Jana Sobieskiego z r. 1671,“ wydany również przez p. Liskego; „Ostatnie Stebelskiego (Bazylianina) prace: zebranie arcybiskupów i biskupów ruskich w Koronie i W. K. Lit.,“ w wydaniu p. Seredyńskiego; i na koniec „Bibliografię dzieł historycznych z r. 1877,“ ułożoną przez p. Wład. Wisłockiego.

Komisja językowa Akademii (mówiąc choćby w nawiasie, pracująca od niejakiego czasu z podwójną gorliwością nad zbieraniem materiałów do słownika staro-polskiego) wydała również niedawno ważną i pożyteczną książkę, napisaną przez p. Stan. Zaruskiego, p. t.: *Geograficzne imiona słowiańskie*; obejmuje ona nazwy geograficzne dawnej Polski i północno-zachodniej Słowiańszczyzny, dzisiaj w znacznej części zniesione, poprzekracane i do pierwotnych niepodobne.

Komitet mający się zająć ułożeniem uroczystego obchodu jubileuszu J. I. Kraszewskiego w Krakowie, dał nareszcie w ostatnich czasach pierwszy znak życia, i dowiódł, że w tej sprawie więcej było u nas zachodów niż rzeczy. Według odezwy tego komitetu, Kraków do jubileuszu Kraszewskiego dołoży się tylko tem, że zrobi dla niego wieniec srebrny i obiecuje go przyjąć na tę uroczystość w Sukiennicach—rozumie się, jeśli Kraszewski tu przybędzie i jeśli Sukiennice będą do tego czasu gotowe. Prócz tego obiecuje jeszcze komitet moralne poparcie wydawnictwom jubileuszowym warszawskim w Galicyi.

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wiosna. — Wystawa Paryżka. — Niemcy. — Kongres literatów. — Jego zadanie. — Społeczność i literatura. — Korzyści ze zjazdu i trwanie jego. — Wystawy przyszłe. — Niemcy. — Napływ cudzoziemców. — Belgia. — S. p. Karolina Gravière. — Życie i dzieła. — Urywki z dziennika autorki. — Śmierć jej. — Pamflet Gutzkowa *Dyonysius Longinus*. — Krytyka Ebersa. — Stan teatrów. — Wągorowskie opery. — Monachium. Lipsk. Berlin. — Posa niemiecka. — Meiningerscy artyści. — Ich występy w Berlinie.

(Dokończenie).

Po tym peryodzie bezładnych, gorączkowych studyów nastąpiło pragnienie uporządkowania w czytaniu, a postanowienie niepozerania wszystkiego w dniu jednym. Zaczęła tłómaczyć Dantego i Shakespeare'a, czytać Ariosta, którego jej pożyczył jeden z balowych tancerzy, a w sekrecie połykać romanse ówczesne. Te kryjome czytane książki niekoniecznie były odpowiednio dobrane. „Miałam pod ręką, pisze, jakie trzy tysiące tomów—filozofii, prawa, teologii, rzeczy naukowych, romansów niedorzecznych, przepysznych, obrzydliwych; poezji różnych, namiętnych, rozpasanych, szyderskich! Czytałam wszystko! Piękna to była metoda wychowania młodości—nieprawdaż? Coś naksztalt tego, jakby kto, chcąc w ciemności się oświecić, na cztery rogi podpał!! (Sarah).“

To nienasycone pragnienie uczenia się jednakże, jak sama autorka wyznaje: „przepaści serca zapełnić nie mogło.“

Młodziuteńka poczyna zawód swój pisarski od

wspomnianych wyżej Medytacji, w których rzuca się na najwznioślejsze, najnieodstępniejsze zadania, z zuchwałstwem niepojętem. Niepokój ją dręczy. Rozdział pod tytułem: „Ostatni dzień moich lat szesnastu“ kończy się „wykrzykiem litość obudzającym i uśmiechem zarazem: „Czem będą moje przyszłe lata, gdy w szesnastym roku życia nie lubię?“ Przychodzi potem zwrot do wiary: „Błada temu, kto nie wierzy!“ i pragnienie miłości: „Miłość może jeszcze życie moje rozjaśnić, zniszczyć je,—nigdy“ (?)

W dzienniku tym ciągle zwroty, niepokój, pragnienia, dowody sił wielkich, które kierunku sobie nadać nie umieją; szukanie dobra i prawdy po manowcach i krętych ścieżkach. Jako studjum rzecz to zajmująca a smutna.

„Jakie to nieszczęście, pisze 21 Września 1840, być tak różną od tego, co nas otacza!“ „Postanawiam więc życie seryo, czynię ślub (i mam nadzieję zdobyć się na tyle siły, aby nad sercem gorącym i udreżonym odnieść zwycięstwo), nigdy rozdwojenia i niepokoju nie być przyczyną w rodzinie; dobry dać przykład mojej siostrze, ojcu mojemu, matce, ciocie—wypłacić com im winna przywiązania, wdzięczności i szacunku“. Wkrótce jednak po tych postanowieniach tak pięknych, buntuje się młode serce i woła:

„Ład! porządek w domu! oszczędność! A! na Boga, nie o to idzie! mylicie się! Inaczej się to nazywa, jest to nieufność posunięta do najwyższego stopnia, i złośliwość, które, w braku innego zajęcia, do samego Pana Boga—gotowe się czeplić.“

Pomijamy wiele psychologicznie zajmujących ustępów dziennika. W roku 1840 (Sierpień), stoi w nim: „Pójdę za mąż, aby moje pisma drogie, dzieci godzin marzenia i rozmyślań, widzieć drukowanymi, aby mieć salon własny... Naówczas młodość moja przygnieciona, moje powołania zniszczone, zgasłe pragnienia—nanowo wybuchną.“

„Muszę zmienić powietrze, którym oddycham,—zwyczaję; nowymi nadziejami odetchnę, chociażby były zatrute. Swoboda! sława! życie zgodne z upodobaniami moimi, dystyngowane obejście się, którego mam poczucie—to dla mnie małżeństwo.“

Pierwsze kroki dla zdobycia sławy piórem są niepowodzeniami,—próby nieszczęśliwe; naostatek siła woli niezrażonej niemi zwycięża. Powieści pani Karoliny Gravière są wielce oryginalne, bardzo, niekiedy nadto, śmiało dotykające kwestyj bieżących życia i obyczajów. Wymieniam tu najpierw satyryczne, złośliwe opowiadanie: *Une histoire du pays*, w którym talent wielki psuje zbytnią namiętnością i gorączką. Za tą idą nowelle, równie z rzeczywistego życia pochwycone odważnie: *Zagadka doktora Burga*, *Szlachectwo dzisiejsze*, *Kazanie księdza Goyet*, *Stare dobre czasy*, *Służąca*, *Rzeczy przyjęte* i t. p.

Talent autorki najszcześliwiej się objawia w mniejszego rozmiaru nowellach; w szerszych utworach słabnie i nie wytrzymuje próby obmyślenia i stopniowo rozwijającego się planu. P. Gravière zostawiła po sobie dziennik i pamiętniki, które jednak nierychło się ukażą. „Życie jej, pisze znajomy jej i przyjaciel, Potvin, zapełniły dwie rzeczy: obowiązki macierzyńskie i literatura. Przez lat trzydzieści widzieliśmy ją kierującą domem, samą nauczającą córkę, gotową na wszystko, dla przyszłości i szczęścia dzieci, mająca dwie rodziny pokrewne, których wymaganiom zadosyć było uczynić potrzeba, ale wytrwała dla nich i z siebie tylko czyniącą ofiarę. Potem, gdy wszystko było w porządku, rachunki pokończono, korespondencye zamknięte, autorka otwierała drzwi: we dnie studyum i pracy literackiej, wieczorem gronu przyjaciół. Przez salon jej przesunęło się osób wiele, uczonych, poetów wszelkich narodowości, wszelkiego stroju i wzrostu, najrozmaitszych przekonań; zawiązywały się tu przyjaźni trwałe, na których czele postawię artystę Van Moera, filantropa Vissersa, demokratę Felixa Delhasse, i—śmiem dodać—poetę.“

Karolina Gravière zmarła z ciężkiej i bolesnej choroby, która się leczyć nie daje (na raka). Miała ona nadzieję przesiedlić się do Paryża i odegrać tam daleko świetniejszą rolę, jaką tylko w stolicy tej, na widowni świata, można odegrać w literaturze. Bądźcobądź, umysł, temperament, talent,

charakter był to niepospolity i tak z krwi i kości wieku zrodzony, iż dla Belgów pozostanie świadectwem czasu, który się w nim odbija.

W Niemczech najnowszą rzeczą jest gorzki pamflet zestarzałego, biednego Gutzkova, przeciwko nowym literatom i literaturze. Znakomity ten talent w połowie swojego zawodu został zwichnięty. Zamiast sam się badać i szukać w sobie przyczyn tej dysharmonii, jaka się objawiła pomiędzy wiekiem a pisarzem, Gutzkow rozpoczął polemikę z terażniejszością i obronę własną. *Dyonysius Longinus* jest dalszym ciągiem napaści na wszystkich, obok przesadnego i niezręcznego podnoszenia siebie samego.

Na nieszczęście, wady, które po części słusznie wyrzucił towarzyszom swym Gutzkow, są jego własnymi także. Nie jest on od nich wolnym. Pomiedzy innymi napaściami oburza się autor przeciw Ebersowi za jego romans *Homo sum*, wyrzucając mu — pięty! a — wyznając razem, że go i trzeciej części nie przeczytał. W całej książce czuć nagromadzoną żółć i usposobienie chorobliwe, — starość zniechęcała i skwaszona, najsmutniejszą ze wszystkich starości. Literaturze niemieckiej można zarzucać wiele; brak jej zapewne i świeżości, i prostoty, i natchnienia, i skromności; góruje w niej pycha nadejście, wrzawa słów wielkich, sztuczne wywyższanie się i chwalebna śmieszność: lecz nie wszyscy na to chorują, a Gutzkow nie miał prawa innym wyrzucać tego, czem sam też grzeszył.

Teatra padają. Przyszło do tego, że zupełną swobodę zakładania ich uznawać zaczynają za przyczynę upadku. Pojęcie to, conajmniej, nader dziecinne a smutne, bo dowodzi, że się do rozumnego użycia swobody nie dorosło. Nie pomoże teatrom żadna opieka i kontrola, jeśli w nie inny duch nie wstąpi, a ducha tego urzędowa dyrekcja i nadzór nie nadają.

Tymczasem Wagnerowska muzyka, dramat, Nibelungi jak zająrzeć — w Monachium, w Lipsku, a podobno wkrótce w Berlinie. Jakiś wypadek przeszkodził rozpoczęciu przedstawień w Monachium, odłożonych na później. Dwie pierwsze części nadzwyczaj świetnie i z powodzeniem niezmiernem odegrano w Lipsku, dokąd zjechał dla słyszenia ich Liszt. Osobne pociągi kolei z Berlina urządzono dla spodziewanych gości.

Inne teatra, o ile siły ich pozwolą, mają pójść za przykładem Lipska, który się nie wahał ponieść bardzo znacznych kosztów, jakich wymagało przedstawienie.

Wagner tryumfuje, jeśli nie w Bayreuth. dokąd już poraz drugi publiczność niemiecka zwać się pono nie da, to na scenach innych, bo nawet w Rzymie, gdzie *Lohengrin* miał powodzenie. Drezdeńskiemu Kretschmerowi, autorowi *Henryka Lwa*, poniekąd pokrewnemu stylem z Wagnerem, również się powodzi. Zato repertuar komedji i dramatów nie daje powodzenia, a possa ze śpiewkami króluje w nim. Znakomite towarzystwo Meiningerów rozpoczęło przedstawienia swe w Berlinie od Schillera *Zbójców*, w których tę ważną zaprowadzono zmianę, że ich dają w strojach współczesnych (Schiller'a) a nie w przebraniu z trzydziestoletniej wojny, jak dotąd bywało. Meiningerów artyści, których gra jest we wszystkich szczegółach niezmiernie opracowaną, stanowią niemal epokę w historii teatru, wprowadzając do niego sumienne tłumaczenie idei autora, a wyrzeczenie się świetnych efektów wirtuozostwa kosztem całości.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Nowy prąd pojęć, starający się o rozszerzenie pola zarobkowej pracy dla kobiety, dał się czuć w Danii, jak wszędzie. Zabrano się do zakładania szkół fachowych dla dziewcząt, w szkołach elementarnych, miejskich zwłaszcza, zostających pod zarządem władz municypalnych, usiłowano połączyć ze zwykłą nauką elementarną naukę różnych ręcznych robót kobiecych, oraz pewnych rzemiosł, z których-by potem uczennice korzystać mogły

w zawodowej pracy na chleb. Otóż Clauson Kaas śledząc postęp tego nowego kierunku, zrozumiał ważne jego korzyści i zapragnął, aby stały się udziałem i chłopców także, aby elementarne szkółki męzkie zaprowadziły u siebie początkową naukę rzemiosł, a posuwając się dalej, doszedł do przekonania, że nauka szkół średnich tak męzkich, jak żeńskich, mogłaby się godzić również z kształceniem się rękodzielniczym, rzemiosłowym, bez żadnej ujmy dla umysłowego rozwoju uczących się, a nawet z wielką i wielostronną korzyścią tak bezpośrednio w kierunku celów pedagogicznych, jak następnie życiowych. Umysł potrzebuje wytechnienia, rozmaitości zajęć takowe daje, a ćwiczenie ciała przez ruch odpowiedni, teraz w wychowaniu tylko przez gimnastykę i gry na świeżem powietrzu otrzymywane, możnaby wspomóc korzystnie przez zajęcie się rękodzielnicze w warsztatach, dających naukę rzemiosł rozmaitych. Dziewczeta mogą coś podobnego znaleźć w gospodarstwie domowym, wreszcie roboty ręczne, choćby siedzące, dają im pewne zajęcie w chwilach wypoczynku umysłowego, gdy czas ten nie może być na świeżem powietrzu spędzony. Chłopcom brak tego zupełnie, i ztąd właśnie wychowanie chłopców jest o wiele trudniejszym dla rodziców, zwłaszcza mniej zamożnych, którzy nie mogą łożyć na to, aby syn ich miał ciągły dozór w chwilach, gdy młode chłopcy niezajęte, wyrwyją się poza godzinami nauki do kolegów, na miasto. Otóż założenie przy szkołach średnich, gimnazyach i liceach, warsztatów rzemieślniczych czy w gmachu szkolnym, czy też, gdy się to nie da uczynić dla względów miejscowych, kędyś w pobliżu, zawsze przecież pod odpowiednim kierunkiem i pewnym zawiadywaniem władzy szkolnej, gdzieby chłopcy w godzinach swobodnych mogli się zająć nauką rzemiosł, nie przymusowo, ale na ochotnika, — stało się marzeniem duńskiego pedagoga i zapoczął on działać w tym kierunku, za pomocą druku, wykazując w pismach korzyści pomysłu swego. Clauson Kaas zaliczył do ich liczby względ na wielką liczbę młodzi średniego miejskiego stanu, którym rodzice pragnęliby dać wyższe niż elementarne wykształcenie, od czego przecież wstrzymuje ich uwaga, że w takim razie nauka rzemiosła, któremu młody chłopiec poświęcić się potrzebuje, zostałaby zbyt opóźniona a nawet uniemożliwiona z powodu trudności, jakie zwykłego rodzaju terminowanie u majstra, rzemiosła uczącego, przedstawia. Z małą różnicą wszędzie jest to samo; nauka rzemiosł na zasadzie warunków przez cechy, lub ich tradycją postanowionych, jest w wysokim stopniu przykra dla chłopca z wyższym już wykształceniem umysłowym, i nawiązaniami nieco delikatniejszego obyczaju. Otóż możność kształcenia się rzemiosłowego jednocześnie z kształceniem naukowym, byłoby dobrodziejstwem dla bardzo licznej warstwy ludności miejskiej, przyczem korzystałoby z takiego urządzenia szkół i ci, którzy jakkolwiek rzemieślniczego zawodu następnie nie szukając, przecież ze znajomością pewnego rzemiosła, nabyliby doń zamiłowania. Niewielki tylko procent ludzi posiada wyższe umysłowe lub artystyczne zdolności, zatem jakieś zajęcie mechaniczne dla wielu mężczyzny przyniosłoby tę korzyść, że umilając im chwile wolne od pracy zarobkowej, wiązałoby ich do ogniska domowego, zapobiegając nieszczęsnemu w skutkach swych wydalaniu się męża i ojca poza koło rodziny. Większa część tych względów daje się w zupełności stosować i do potrzeb młodych dziewcząt klas średnich, do potrzeb życia kobiecego, a nauka odpowiednich rzemiosł wspomogłaby w dodatku domowy przemysł kobiety, i ztąd stała się źródłem oszczędności dla rodzin, otwierając kobiecie nowe źródła pracy domowej. Prassa duńska podniosła tak zwane przez nią *Idee Clauson Kaasa*, a za jej współdziałaniem społeczeństwo zrozumiało ważne korzyści tak wprowadzonego w wychowanie publiczne kształcenia rzemieślniczego. Spostrzeżono jak w kierunku przemysłu domowego zyskałyby na niem niezmiernie wsie, i oto w 1873 r. zawiązało się w Kopenhadze stowarzyszenie, którego celem stało się wnoszenie przy niższych i średnich zakładach naukowych szkół rzemieślniczych, a Clauson Kaas stanął na jego czele i przyjął kierunek interesów towarzystwa. Obejmują one prócz samego zajęcia się szkołami rzemieślniczymi, hurtowny zakup surowych materiałów, dla przerabiania takowych w warsztatach szkolnych, oraz urządzenie po kraju odczytów, któreby umysły rodziców dla korzyści rzemiosłowego kształcenia się dzieci pozyskiwały. Obecnie, prócz koła stowarzyszonych w Kopenhadze, które jest głównem całego ruchu ogniskiem, liczy Dania 100 kółek prowincjonalnych, szkoły zaś przez stowarzyszenie wznoszone, rozmaite wedle potrzeb miejscowych otrzymały urzędnia. Przy niektórych zakładach naukowych, uczniowie dwa lub trzy razy na tydzień, mogą na godzin parę do szkół rzemieślniczych uczęszczać; w innych miejscach odbywa się to tylko wieczorami, w innych jeszcze warsztaty stoją dzień cały otwarte i gotowe do udzielania nauki. Narzędzia i surowy materiał znajduje uczeń, czy uczennica szkółek elementarnych na miejscu; w szkołach drugiego stopnia materiały do pracy udzielają się tylko stypendystom. Z końcem każdej zimy stowarzyszenie urządza wystawę przedmiotów wykonanych w warsztatach szkolnych, które stanowią swojego rodzaju popis i pociągają za sobą udzielanie nagród w książkach, narzędziach, książeczkach do klas oszczędności. Rząd duński udziela stowarzyszeniu na ręce głównego zarządu w Kopenhadze rocznej zapomogi 8,000 koron; prócz tego w roku zeszłym dano różnym prowincjonalnym zakładom stowarzyszenia 20,000 koron. Pewien dochód przynosi także stowarzyszeniu pismo peryodyczne, które, jakkolwiek jest przedewszystkiem organem stowarzyszenia, niemniej zajmuje się ogólnie sprawami wychowania i stanowi dobre czasopismo pedagogiczne. Redaktorem jego jest Clauson Kaas.

Pismo to uwiadamiając publiczność o postępie działań stowarzyszenia, wykazuje, że wsie zdają się na razie garnąć silniej i odnosić większe od miast korzyści ze szkół rzemieślniczych. Rodzice pragną chętnie dla dzieci swoich nauki rzemiosł. Przyjmują się do nauki wszystkie dzieci zdolne już uczęszczać do szkółki.

Stowarzyszenie, na podobieństwo szwedzkiego nazywa się *Przyjaciółmi domowego przemysłu*; przecież stowarzyszenie szwedzkie posiada większe materialne zasoby: ma zatem więcej środków szerszego na kraj działania. Od lat dwóch postanowiło ono, podobnym jak w Danii sposobem, łączenie szkół swoich z publicznymi zakładami naukowymi.

W Niemczech idea Clauson Kaasa znalazła licznych zwolenników. W 1876 roku zawiązało się w Berlinie komitet, pragnący wprowadzić je w życie przez stowarzyszenie *przyjaciół przemysłu domowego*. Z początkiem bieżącego roku otwarta została w Berlinie przy ulicy Luisenstrasse N. 60 pierwsza szkoła stowarzyszenia, dzieląca się na dwa oddziały: męzki i żeński.

W początkach Maja Kopenhaga była świadkiem bardzo miłego sposobu wynagrodzenia zasługi. Przed paru miesiącami troje wiejskich dzieci wpadło pod lód głębokiego jeziora i, naturalnie, utonąć-by musiało, gdyby nie czyn szlachetnej odwagi ze strony wiejskiej także kobiety, już przeszło 50-letniej, która rzuciła się za nimi w wodę i z najwyższym niebezpieczeństwem życia ocaliła wszystko troje. Pisma rzecz rozgłosiły i król, wzruszony szlachetnością tego postępu, kazał bohaterką kobietę przywieźć do Kopenhagi, gdzie dla niej i jej rodziny przygotowano pomieszkanie w pałacu królewskim, w pokojach frontowych, aby użyć mogła widoku stolicy. Król i rodzina królewska przyjmowali ją tam i podejmowali jako gościa swego, przytem otrzymała z własnych rąk monarchy wraz ze wstęgą honorową, medal udzielany w nagrodę szlachetnych czynów odwagi cywilnej, a który poraz pierwszy od czasu istnienia swego ozdobił pierś kobiety. Wieczorem powóz dworski powiózł obdarowaną do teatru, gdzie wraz z rodziną zajęła łożę tuż obok królewskiej i z zajęciem przyglądała się widowisku, będąc na odwrót sama miłym dla zgromadzonych widowiskiem. W czasie antraktów król łaskawie z nią rozmawiał. Szkoda, że angielski dziennik *Pall Mall Gazette*, z którego wiadomości tę czerpiemy, nie podał nazwiska bohaterki, ograniczając się na szczęście, że jest mieszkanką odległej i ubogiej wioski w północnej Danii.

W Kiel ukazała się przed kratkami sądowymi

kobieta, jak piszą dzienniki miejscowe Polka, i występując jako obrońca jednej ze stron, wygrała bardzo trudną i skomplikowaną sprawę. Obrona miała być wypowiedziana bardzo wymownie, z wielkim talentem i inteligencją, jaką też odznaczało się całe przeprowadzenie sprawy, która była cywilną.

W Amsterdamie panna Aletta Jacobs otrzymała od tamtejszego uniwersytetu stopień doktora medycyny i zamierza z niego korzystać, praktykując w temże mieście jako lekarz kobiet i dzieci. Jest ona pierwszą kobietą-doktorem w Hollandyi, gdzie przecież publiczność przyzwyczaiła się do widoku kobiety zajętej publiczną służbą zdrowia, albowiem Hollenderki już od lat kilku mają otwarty sobie zawód aptekarski.

Świeżo w Londynie wydane i poważnie przez prasę angielską cenione dzieło Williama Elliot Griffisa: *Państwo Mikado*, czyli cesarza Japońskiego (The Mikado's Empire) zawiera następujący ustęp: „Sądzę, że dzieje żadnej literatury europejskiej nie przedstawiają podobieństwa z faktem, zaznaczającym się w literaturze japońskiej, a to: że stosunkowa wielka część najlepszych dzieł japońskich, pisanych w najświetniejszej dla japońskiego piśmiennictwa epoce, wyszła spod kobiecego pióra. Przy politycznych kraju przewrotach język chiński został wprowadzony do Japonii i jako urzędowy stał się wkrótce piśmiennym językiem kraju, używanym przez najwykształcenijszych, najwyżej utalentowanych mężczyzn. Kobiety przecież pozostały wierne japońskiemu językowi, mówiły nim i pisały, zachowując go w ten sposób od zagłady i urabiając pod względem formy. Kobiety też, nie meżki geniusz, czynił go tem, czem jest obecnie. Ruchome i niestałe formy mowy ustnej skrytykowały się w trwałą i piękną pod ujęciem i ukształtowaniem ich przez ducha kobiecego“.

Pismo angielskie kobiece, tytułujące się *Kroniką dworu* i *The Queen* (Królowa) donosi z Warszawy rzecz ciekawą, jakoby panie nasze ze sfer arystokratycznych zawiązały pewien rodzaj klubu, z celem oszczędzenia w ubiorze, oraz z dążeniem do modyfikowania excentryczności mód tegoczesnych, powstającej ztąd, że mody te tworzą wyłącznie magazyny bez względu na wdzięk z wykształconym smakiem zgodny. Warunki obowiązujące członków są: 1) Nie płacić drożej jak: za suknie poranną sumę odpowiadającą 5 funtom sterlingom, 10 za suknie do ubioru wieczornego, za kapelusze półtory gwiney. 2) Na zebraniu kwartalnym każda z pań klubistek powinna zapewnić współtowarzyszony, że nie ma żadnych długów toaletowanych. 3) Każda z pań powinna przedstawić na zebraniu kwartalnym coś, co daży w kierunku praktyczności, oszczędności i estetyczności toaletowej, a czegoby dokonała piórem, lub cytaniem, rysunkiem lub igłą.

HISTORIA ZBRODNI

T O M II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięstwo.

(Dalszy ciąg).

Sarre wyszukał numeru, obudził portyera, wymienił mu nazwisko swego przyjaciela, kazał sobie otworzyć, wszedł na wschody i zapukał do drzwi. Drzwi się otworzyły, przyjaciel w nich się ukazał w koszuli, ze świecą w ręku. Poznawszy Sarre'a, krzyknął:

— To ty! a! pięknie wyglądasz! Zkądże przychodzisz? Może z barykady, szaleńcze? I jeszcze przychodzisz tu ażeby nas skompromitować! ażeby nas rozstrzelano? I czegoż chcesz odemnie?

— Ażebyś mi dał na chwilę szeczotki—rzekł Jan Sarre.

Przyjaciel porwał szeczotkę, oczyścił go, a Jan Sarre odszedł sobie.

Kiedy już schodził ze wschodów, krzyknął swemu przyjacielowi: Dziękuję.

Jestto rodzaj gościnności, któregośmy sami doświadczyli później w Belgii, Szwajcaryi, a nawet w Anglii.

Nazajutrz, kiedy zebrano trupów, znaleziono na Charpentierze notyskę i ołówek, a na Doussoubie list. List do kobiety. Te serca stoickie kochają.

D. 1 Grudnia datowany był list ten niedończony, który tak brzmi:

„Moja droga Maryo!

Czy uczuwałaś kiedy to słodkie zło żalowania kogoś co i ciebie żałuje? Co do mnie, od czasu ja kem cię porzucił, nie przestałem myśleć o tobie. Przykrość ta miała w sobie coś słodkiego i prawie byłem szczęśliwy, iż odczuwam w mojem sercu przez żal, wielkość mojej miłości dla ciebie. Dlaczegoż byłem zmuszony uciec od ciebie? Wszak byliśmy tak szczęśliwi!

Kiedy przypomnę sobie wieczorki nasze tak swobodne, tak wesołe rozmowy na wsi z twojemi siostrami, odczuwam żal gorzki. Nie mieliśmy sekretów przed sobą, bośmy nie mieli ich potrzeby, a z ust naszych, wyłaniała się myśl naszego serca, bez obawy, iżbyśmy ją powstrzymać chcieli.

Bóg nam odebrał to wszystko, — i nie mnie nie ucieszysz po stracie — a czyliż ty nie oplakujesz tak jak ja klęsk nieobecności?

Jakże rzadko widzimy tych, których kochamy! Okoliczności oddalają nas od nich, a dusza nasza, dręczona i pociągana nazewnątrzą, żyje w ustawicznym rozdarciu. Ja odczuwam ten ból nieobecności. Przenoszę się w to miejsce, gdzie ty przebywałeś, ścigam oczyma twoją pracę, i słucham słów twoich, siedząc przy tobie i usiłując odgadnąć słowo, które chcesz wyrzec: siostry twoje pracują tuż przy nas. Próżne marzenia!.. złudzenie chwili!.. Ręka moja szuka twojej,—gdzie jesteś ukochana?

Życie moje jest wygnaniem. Zdała od tych, których kocham i którzy mnie kochają, nadarmozywam ich sercem, wycieńczając się w żalu. Nie — nie lubię miast wielkich i ich wrzawy, miast zaludnionych cudzoziemcami, gdzie nikt mnie nie zna i gdzie ja nie znam nikogo, gdzie jeden trąca drugiego łokciem, nieuśmiechnawszy się nawet.—Lecz kocham nasze wsie ciche, pokój ogniska domowego i głos pieszczący przyjaciół. Aż dotąd żyłem zawsze w sprzeczności z moją naturą; burzliwa krew moja, natura moja nienawidząca niesprawiedliwości, widok nędz niezasażonych, rzuciły mnie w walkę, której zakończenia nie przewiduję, walkę, w której chcę pozostać bez obawy i wyrzutu do ostatka, lecz która mnie codnia łamie i życie mi wyczerpuje.

Nie potrzebuję się wstydić przed tobą, moja droga, ale serce moje chore i cierpiące... Chciałbym zmasać te słowa; lecz dlaczego? Czyż mogłyby cię obrazić—alboż nie wiem, że mnie kochasz? Tak, tyś mnie nie zwiodła, ja nie całowałem ust kłamliwych... Żyję tu w zupełnej samotności, żegnając cię Maryo“...

Notyska Charpentiera zawierała te tylko wiersze, które napisał w ciemności u stóp barykady, podczas, gdy przemawiał Dyonizy Dussoubis:

Admonet et magna testatur voce per umbras.

* * *

W dalszym rozdziale opowiada autor rzecz straszną i ohydną, to jest wzięcie w niewolę reszty walczących w liczbie trzystu trzydzięści sześciu i rozstrzelaniu ich na placu Marsowym. Rozstrze-

lanych zakopano na ementarzu Montmartre, z głową do góry wzniesioną, tak że w ten sposób rodziny mogły ich rozpoznać. Pomiędzy temi ofiarami było, jak autor mówi, około 100 przechodniów, których wzięto nie wiedzieć dla czego, co przypomina bohaterkie czyny margrabię Gallifet po wejściu wojska do Paryża z Wersalu, w roku 1871, które uśmierzyło ostatecznie Komunę.

Od 3 Grudnia też, — egzekucye te en masse ponawiały się conoc, a kiedy więzienia nie miały dosyć miejsca, pan de Maupas mówił: Rozstrzelawajcie!

Rzezie te sekretne, trwać miały do 13 Grudnia. Później uformowały się osławione tak zwane „kommissye mieszane“, które gwałciły wyrokami swemi wszelkie prawa.

Nadto 80 deputowanych, pomiędzy którymi i autora, skazano na wygnanie.

* * *

W rozdziale zatytułowanym: „Na obowiązek można patrzeć z dwóch stron“, mówi autor:

Czy było w możliwości lewicy, w jakiejś chwili, przeszkodzić zamachowi stanu?

Nie sądzimy.

Jednakże przytoczymy fakt, którego nie należy zamilczeć.

D. 16 Listopada 1851 r. znajdowałem się na ulicy Tour d'Anvergne pod N. 37, u siebie, w swoim gabinecie; było już około północy, pracowałem. Służący mój otworzył drzwi:

— Czy pan przyjmuje?

I wymienił nazwisko.

— Tak—odrzekłem.

Wszedł ktoś.

Chcę tu mówić o tym mężu niepospolitym, ostroźnie. Dostyc powiedzieć, że miał prawo mówić o Bonapartym: „Moja rodzina“ (1).

Wiadomo, że rodzina Bonapartych dzieliła się na dwie linie: rodzinę cesarską i rodzinę prywatną. Cesarska miała tradycję Napoleona, rodzina prywatna tradycję Lucjana. Jestto odcień zresztą nie zbyt ścisły.

Mój nocny gość stanął przy kominku.

Rozpoczął od opowiadania o pamiętnikach bardzo szlachetnej damy, księżniczki ** swjej matki, których manuskrypt powierzył mi, radząc się, czy pożytecznie byłoby je drukować. Manuskrypt ten, nader zresztą zajmujący, miał dla mnie ten jeszcze urok, że pismo jego, podobne było do pisma mojej matki. Gość mój, któremu go oddałem, przewracał w nim kartki, a potem, przerywając sobie nagle, zwrócił się do mnie i rzekł:

— Rzeczpospolita jest zgubioną.

Odpowiedziałem: Prawie.

On: Chyba, że pan ją ocalisz.

— Ja?

— Pan?

— Dlaczego?

— Posłuchaj pan.

I wtedy wyłożył mi z ową jasnością przeplatana parodoxami, tak właściwą jego niezwykłemu umysłowi, położenie rozpaczne a przytem silne, w jakim się znajdowaliśmy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 20-ty powieści pod tytułem: **Zamek Daly.**

(1) Autor wskazuje naturalnie księcia Bonapartego, którego, jakkolwiek książka ta miała być napisana zaraz po zamachu, uwielbia. Książka ten jednak, chociaż był zawsze w opozycji z Napoleonem III, zgodził się również na spełnione czyny. (Przyp. streszczającego).

TREŚĆ. Wiosenna piosenka, poezya, (z Heine'go). — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Przegląd piśmienniczy, (dalszy ciąg), przez Stanisława Krzemińskiego. — Korrespondencja zagraniczna, (Kraków). — Listy z zagranicy, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Historia zbrodni, W. Hugo, przełożył Edward Lubowski.